

W naszym kraju - w odróżnieniu od Węgier i Czechosłowacji - socjalizm schodził do grobu przy galopującej inflacji, co zawsze osłabia lub wręcz niszczy instytucje finansowe.

Jak w banku.

W Sejmie odbyła się niedawno debata na temat systemu bankowego i ubezpieczeniowego w Polsce. Przedstawiłem tam informację, którą chciałem się dzisiaj - w skrócie - z Państwem podzielić. Zaczęę od banków.

Nasze warunki startu ponad dziesięć lat temu były wyjątkowo niekorzystne. Odziedziczyliśmy ustrojowe słabości gospodarki socjalistycznej, w której banki istniały tylko z nazwy. Kredyty były rozdzielane według preferencji ustalanych przez władze polityczne, nisko oprocentowane i często umarżane. Płacili za to oszczędzający oraz podatnicy. Na dodatek - w odróżnieniu od Węgier i Czechosłowacji - socjalizm w Polsce schodził do grobu przy galopującej inflacji, co zawsze oznacza osłabienie lub wręcz zniszczenie instytucji finansowych. Szybko postępujący spadek wartości złotówki sprawił, że ludzie ją odrzucali i wracali do wymiany towar za towar oraz przierzucali się na dolary. W takich warunkach nie było możliwe wypełnienie przez system instytucji finansowych jakiegokolwiek z jego zasadniczych funkcji: mobilizowania oszczędności, zapewniania trafnego wyboru projektów inwestycyjnych, płynnej obsługi płatności.

Od 1990 r. sektor bankowy był systematycznie uzdrawiany i szybko się rozwijał. Stopniowo rosła relacja sumy aktywów netto systemu bankowego do PKB, która w 1989 r. była wyjątkowo niska - zdecydowanie niższa niż w dawnej Czechosłowacji czy na Węgrzech. Aktywa netto banków to suma wszystkich zasobów pozostających pod kontrolą banków (gotówki, papierów wartościowych, udzielonych kredytów, nieruchomości itp.), pomniejszona głównie o wielkość rezerw celowych, które banki są zobowiązane tworzyć w celu równoważenia ryzyka związanego z udzielonymi kredytami, gwarancjami i innymi należnościami. W 1995 r. relacja sumy aktywów netto systemu bankowego do PKB wynosiła jeszcze niecałe 49 proc., a w 1999 r. już prawie 60 proc.

Drugi miernik postępu to tempo wzrostu funduszy własnych banków. Owo tempo wynosiło w kategoriach realnych (po potrąceniu inflacji) w 1997 r. - 34 proc., w 1998 r. - prawie 31 proc., zaś w roku 1999 - niemal 20 proc.

Polskie banki wyraźnie poprawiły jakość swojego portfela kredytowego. Mierzy się ją między innymi za pomocą tzw. wskaźnika należności zagrożonych, czyli - w uproszczeniu - udziału wszystkich należności (kredytów), w wypadku których opóźnienie w spłacie kapitału lub odsetek wynosi powyżej miesiąca, w

należnościach ogółem. W roku 1993 wskaźnik ten był wysoki - wynosił 30 proc. Wynikało to z odziedziczonych problemów poprzedniej gospodarki. W socjalizmie z samej natury źle inwestowano ludzkie oszczędności: informacja o ich możliwych zastosowaniach była zafalszowana przez zdeformowaną strukturę cen. Przy cenach energii zaniżonych przez masowe subsydia opłacalne były przedsięwzięcia energochłonne, które musiały się okazać nierentowne w warunkach rynkowych. Nakładało się na to upolitycznienie procesu przyznawania kredytów. Urealnienie stóp procentowych spowodowało, że wiele przedsiębiorstw przestało regulować swoje zobowiązania. Pogłębienie się problemu "złych długów" w latach 1990-1993 było spowodowane również tym, że bankom brakowało umiejętności analizy rentowności poszczególnych projektów. Konieczny był upływ czasu, zanim banki zdobyły niezbędne doświadczenie.

Dzięki uchwalonej w 1993 r. ustawie o restrukturyzacji finansowej banków i przedsiębiorstw problem "złych długów" został rozwiązany. W Polsce przebiegało to o wiele płynniej i przy mniejszych kosztach niż we wszystkich innych krajach dawnego bloku socjalistycznego. Portfel kredytowy banków stał się dużo zdrowszy. Wskaźnik należności zagrożonych bardzo wyraźnie spada. W latach 1997 i 1998 wynosił on 10 proc. W ubiegłym roku nastąpił jego przejściowy wzrost do 13 proc., jednak najgorsza część omawianej kategorii - udział kredytów straconych w należnościach banków ogółem - w ciągu trzech ostatnich lat obniżał się systematycznie i w roku 1996 wynosił 7,2 proc., w 1998 r. - 4,7 proc., a w 1999 r. - 4,6 proc.

Rośnie zakres i poprawia się jakość oferowanych usług. Szybko zwiększa się liczba placówek bankowych. W roku 1999 wzrosła ona prawie o 11 proc. Rozpowszechniają się usługi, które jeszcze niedawno miały charakter elitarny. Na przykład trzy lata temu z kont osobistych korzystało 5 mln osób, podczas gdy obecnie 9 mln. Do końca grudnia ubiegłego roku banki wyemitowały 7,7 mln różnego typu kart płatniczych, z czego aż 4,5 mln tylko w 1999 r.

Do naszych banków wkracza również Internet. Koszty utworzenia elektronicznego oddziału, oceniane na kilkanaście milionów złotych, są niewielkie w porównaniu z ogólnopolskim zasięgiem, jaki daje cyberprzestrzeń. Ankieta przeprowadzona wśród internautów przez jedną z polskich gazet branży komputerowej dowiodła, że aż 85 proc. z nich zamierza korzystać z bankowości elektronicznej.

Jednocześnie spadają koszty oferowanych usług, mierzone poziomem marży odsetkowej, co oznacza, że z punktu widzenia klienta spada cena, jaką płaci on za poprawiające się usługi.

A teraz parę słów o rozwoju systemu ubezpieczeń. I tutaj zaczynaliśmy z bardzo niskiego poziomu. Jeszcze w 1987 r. działały tylko dwa zakłady ubezpieczeniowe: PZU i Wartę. Od tego czasu nastąpił ilościowy i jakościowy skok. W grudniu 1999 r. zezwolenie na prowadzenie działalności ubezpieczeniowej miały już

63 zakłady. Wzrosło znaczenie instytucji ubezpieczeniowych w całej gospodarce. Realny wzrost wielkości składki po 1989 r. był zdecydowanie szybszy od tempa wzrostu produktu krajowego brutto. Dzięki temu stosunek pobieranej sumy składek ubezpieczeniowych do PKB zwiększył się z 1,85 proc. w roku 1994 do ponad 3 proc. w 1999 r.

Podobnie jak w wypadku banków w bardzo dużym stopniu osiągnęliśmy to dzięki wzrostowi udziału inwestorów międzynarodowych i kapitału zagranicznego. Na tym tle pouczająco wygląda historia towarzystw ubezpieczeniowych zdominowanych przez kapitał krajowy. Pierwsza w kłopoty wpadła Westa, która zakończyła swój żywot bankrutem w atmosferze skandalu. Druga - Polisa. Miała ona bardzo osobliwy skład założycieli, z jednej strony - osoby prywatne, m.in. żony znanych polityków, a z drugiej - instytucje państwowe, na przykład Polski Fundusz Gwarancyjny (czyli dawną Agencję Rozwoju Gospodarczego), Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, Agencję Własności Rolnej Skarbu Państwa. Udziałowcy Polisy nie chcieli dopuścić do przejścia kontroli nad spółką przez poważnych inwestorów z branży ubezpieczeniowej. Wielokrotnie zwoływane walne zgromadzenia akcjonariuszy i próby podwyższenia kapitału akcyjnego towarzystwa zawsze kończyły się fiaskiem. W efekcie na koniec 1998 r. Polisa wykazała straty w wysokości 217 mln zł, które stanowiły ponad 50 proc. zebranych w ciągu roku składek. Bez wsparcia kapitałowego, przy braku koniecznej wiedzy i doświadczenia Polisa nie była w stanie utrzymać się na rynku. We wrześniu 1999 r. utraciła licencję na prowadzenie działalności ubezpieczeniowej, a w lutym 2000 r. sąd ogłosił jej upadłość. W ostatnich transakcjach akcje Polisy sprzedawano na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych zaledwie za 1 gr, podczas gdy ich rekord cenowy, zanotowany pół roku po debiucie na warszawskim parkiecie, wyniósł 9,4 zł za akcję.

W ostatnich latach wzrosło bezpieczeństwo sektora ubezpieczeniowego, mierzone m.in. poziomem kapitałów własnych. Dynamika ich realnego wzrostu była i jest imponująca: od 5 proc. w 1995 r., przez 14 proc. w 1996 r. i 13 proc. w 1997 r., do 68 proc. w 1998 r. oraz aż 92 proc. w roku ubiegłym.

Przedstawiony rozwój banków i instytucji ubezpieczeniowych osiągnięto m.in. dzięki tworzeniu lepszych, bardziej przejrzystych ram prawnych. Dużą rolę odgrywały tu dostosowania do standardów Unii Europejskiej, które poprawiały jakość regulacji, zwiększały konkurencję, przejrzystość i możliwość skutecznego nadzoru. Zasadnicze znaczenie miała prywatyzacja banków i instytucji ubezpieczeniowych. Prywatyzację można prowadzić w różny sposób. Ta, która się sprawdza, to prywatyzacja zapewniająca prawdziwą niezależność ośrodków decyzyjnych - państwowych i prywatnych. W krajach południowo-wschodniej Azji, gdzie ośrodki prywatne były powiązane swoimi decyzjami z ośrodkami rządowymi,

doprowadziło to do nieostrożnych i nadmiernych inwestycji, a w konsekwencji do załamania gospodarczego i kryzysu walutowego. W polskiej prywatyzacji prowadzonej od 1998 r. unikamy takich błędów.

Jest to równocześnie prywatyzacja skoncentrowana, która daje poszczególnym prywatnym instytucjom strategicznego inwestora. W taki sposób sprywatyzowano w latach 1998-1999 Bank Przemysłowo-Handlowy w Krakowie, Pekao SA i Bank Zachodni. Prywatyzacja skoncentrowana daje możliwość długofalowego i poważnego zaangażowania się inwestora, pozwala na wynegocjowanie umowy sprzyjającej rozwojowi danej instytucji finansowej. Ponadto przynosi skarbowi państwa większe dochody niż prywatyzacja rozproszona. Prawie 9 mld zł, jakie uzyskano w latach 1998-1999 z prywatyzacji banków, oraz ponad 3 mld zł ze sprzedaży akcji PZU i Warty przeznaczono na reformę emerytalną.

Stosując tę strategię, obecny rząd stara się zwiększyć równowagę wśród krajów, z których pochodzą międzynarodowe instytucje finansowe uczestniczące w naszym systemie bankowym. Na przykład: udział instytucji pochodzących z Niemiec w kapitale akcyjnym banków działających w Polsce wynosił w 1997 r. 33 proc., a w 1999 r. spadł do 26 proc.; udział instytucji ze Stanów Zjednoczonych w 1997 r. wynosił nieco ponad 19 proc., w 1999 r. przekroczył 23 proc.; udział inwestorów z Holandii, wynoszący w 1997 r. 17,6 proc., w 1999 r. obniżył się do 13 proc.

Mimo szybkiego rozwoju sektora instytucji finansowych w ostatnich latach, jego rola w polskiej gospodarce jest nadal dużo mniejsza niż w krajach rozwiniętych. Tak więc - choć dużo już osiągnęliśmy - sporo mamy jeszcze do zrobienia.

Leszek Balcerowicz

Felieton ściągnięty ze strony www.balcerowicz.pl.